

AMELIA SAWA

ur. 1925; Siedliszcze



Miejsce i czas wydarzeń	Trawniki, dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	Trawniki, Mogielnica, dwudziestolecie międzywojenne, szkoła, cukrownia w Trawnikach, mieszkańcy Trawniki

Po powrocie z Warszawy

Po tym braku pracy w Warszawie wracamy na swoje tereny, czyli właściwie do Trawniki, bo tam mieszkała babcia Walercia i dziewięcioro jej dzieci. Dziadek Andrzej był pracownikiem cukrowni właśnie w Trawnikach. Tam była cukrownia bardzo pięknie zagospodarowana i stały bardzo ładne domy dla pracowników. Takie czerwone z cegły, pamiętam to. I wokół był park, dużo zieleni. Pięknie tam było. Chodziłam do szkoły do Mogielnicy. To była trzyklasówka. Studia zaczęłam na trzyklasówce. Bo to była wieś ukraińska. A było zaledwie parę osób, chyba trzy czy cztery tylko rzymskokatolików. Szkoła była skromna, nieduża. I dwie panie, tam była pani dyrektor, właściwie kierownik się mówiło. Pani kierownik i pani nauczycielka, tak. No dla nas wtedy nauczyciel to był święta osoba. To nie było tak jak teraz, co się wszystko powie, co się chce, zrobi się jeszcze więcej. My byliśmy tacy skromni, jak trusie siedziałyśmy. I tylko wpatrywaliśmy się w tę osobę nauczyciela, jak w jakąś świętość. Szacunek był niesamowity. Niesamowity. Tak że jak ja już zostałam nauczycielem, już tego nie zauważyłam. Ale jeszcze ze mną było nie tak źle. Teraz jest podobno jeszcze gorzej. Ja tu w dwudziestej dziewiętej szkole uczyłam. No i potem w innych szkołach, w liceum dla dorosłych. Bo jeszcze kto się nie doksztacił, to tam kończył te studia takie. Tak że pracowałam bardzo usilnie, bo miałam półtora etatu tu w szkole i jeszcze wieczorem. O jedenastej wracałam do domu. Ciężko pracowałam całe życie, miałam dużo trudów. A wszystkie moje ferie to były albo obóz harcerski albo kolonia letnia. Oj, napracowałam się niesamowicie. Ale zebrałam dużo laurów za to. W tej Mogielnicy to takie były różne miłe też i przeżycia. To w ogóle krajobraz był przepiękny. Mieszkałam tak na rogu dróg, na rozstajnych drogach. Tu był przepiękny pałac. Jego właścicielem był pan Jankowski. Od czasu do czasu zimą i latem przyjeżdżały do babci Jankowskiej wnuki. Tam nie było takiego towarzystwa odpowiedniego dla nich, a one chciały się bawić też. I ten młody pan dziedzic, ten Jankowski, Stefan organizował nam takie zabawy, na górze w pokojach gościnnych. Przepiękne meble i olbrzymie fotele. On łączył te fotele wszystkie i robił pociąg.

Ciągnął, a myśmy jeździli. Potem wchodziłyśmy na strych. Co za wspaniała zabawa była na strychu! Stały stare szafy, kufrы wielgachne takie i pełne różnych rzeczy. No ja się dobrałam do kapeluszy niesamowitych. Potem były suknie tam złożone w tych kufrach. No to przebieraliśmy się. No i takie cuda się działy. To była najbardziej niezapomniana zabawa. Czego tam nie było! Latem to było przepięknie tam. Była taka oranżeria tak zwana. To taki mały domek, w którym hodowano wszystkie piękne kwiaty. No bajka. Ale ja to byłam taka dziewczyna jak chłopak. Po wszystkich drzewach chodziłam na szczyty. I naokoło tego pałacu rosły morwy białe i czerwone, różowe takie. No to ciągle na tych morwach siedziałam. A moja mama była bardzo surowa i co napsociłam, to lała, niesamowicie. I tak sobie myślałam, dlaczego mama taka jest. A no mama była dość nerwowa widocznie i tak nie wytrzymywała wielu rzeczy. I na zapas tak działała. No ale właściwie to mi na dobre wyszło wszystko, bo mama była pedantką i mnie nauczyła tej pedanterii życia, to prawda. No i kiedyś taka zrozpaczona po takim laniu siadłam w krzewach bzu, a ten bez był taki rozległy. I ja sobie tam zrobiłam taki pokój. Wyrzuciłam wszystkie rośliny niepotrzebne, postawiłam taborecik, stołeczki i tam chodziłam na takie rozmyślania, tęsknoty i moje wszystkie przeżycia tam analizowałam. No tak się schowałam. Ale to nie był jeszcze dobry schowek, bo słyszałam ludzi, którzy przechodzili, a ja szukałam kącika bezwzględnie takiego cichego. I wymyśliłam sobie, że będę siadała na najwyższej lipie. I tam siedziałam i tak myślę sobie: blisko Boga już jestem, w ciszy, nikt nie wie, gdzie ja jestem. Schowałam się. I tam rozmyślałam, co ja robiłam dobrze, a co robiłam źle. I co mam zrobić, żeby się poprawić, bo mama się denerwuje. I to było moje takie miejsce stałe na te wszystkie rozmyślania. Nikt nie wiedział nawet, że ja tam idę. Ale razu pewnego mama mi tak wlała, że ja się zdenerwowałam bardzo i postanowiłam z domu uciec. A wtedy przez naszą wieś bardzo często przejeżdżały takie tabory cygańskie. I taki tabor to było kilka tych wozów z takimi budami. No i ja myślę sobie, Boże, oni mi się podobają, to ja z nimi ucieknę. I tak sobie postanowiłam, że ja ucieknę. No i przyszedł ten moment, że oni są. To tam zawsze kurę ukradli, coś tam. Mama to nie lubiła tego. Ale mnie się coś tam podobało w nich i pomyślałam sobie, że ucieknę z nimi. Ale nie uczyniłam tego. Mój ojciec, jako że był taki pomysłowy, wymyślił wiatraki, które będą produkować elektryczną siłę. No i duma była nad tymi sprawami, sobie wykombinował to wszystko. Zrobił zebranie tych wszystkich mieszkańców tam. Bo to byli tak zwani koloniści. Oni mieszkali w polu, mieli dużo ziemi. I ci koloniści zrobili to zebranie i ojciec ich przekonał, że będą mieli super sprawę, jeżeli zrobią sobie te wiatraki. No to takie były trochę opory, to jeden chciał, drugi nie chciał. No w końcu się zgodziło kilku. I mój ojciec zaczął działanie z tymi wiatrakami. W tym roku to jeszcze nikt o tym nie pomyślał, bo myśmy przy świeczce i o takiej lampie cały czas byli. A ojciec im elektryczność załatwił, tym właśnie osobom. Potem, to był chyba [19]35, [19]36 rok, rodzice wyjechali na taką prowincję, do Kozic. Bo to Górne i Dolne były. To jest blisko Piask. Dlatego tam wyjechał, że ci gospodarze dowiedzieli się, że ojciec jest taki fenomenalny w tych

sprawach. Obiecali mu, że będzie mu dobrze jak w raju. No więc ojciec mój wybudował zakład. Wybudował! I rozpoczął tam pracę. I tam mieszkaliśmy, blisko takiej rodziny, oni się nazywali Ciuraje. I tak zaprzyjaźnili się z nami. Ja tam ciągle przebywałam, bo ich syn Jaś chętnie mnie woził. I co najbardziej wspominam z tych czasów, to jak jechałam tym wozem. To byli bogaci gospodarze, mieli dwa piękne konie, ten wóz był taki obfity, no wygodny, prawda. I ja jechałam o godzinie trzeciej, czwartej rano. No, co za wspaniałe to było przeżycie dla mnie. Jak ja widziałam, jak słońce wschodzi i ta rosa, i ten zapach. I taka świeża droga między tymi drzewami. I dlatego mi się to tak przypomina teraz, dlatego że żal mi tego wszystkiego. Że tak człowiek mógł jechać wśród zieleni, tych łąk, pięknych terenów. Ten brzask dnia, ta rosa, ten zapach, ta świeżość. No, jak dzisiaj widzę to i czuję, naprawdę. Teraz tą samą trasą jadę, to jest żelbet. Jeszcze teraz na domiar złego zrobili takie ściany ze szkła i jedzie się tymi drózkami, bo to jedni w tą, drudzy w tą. Już nie widzę zieleni, bo wycięta zieleń, nie ma zieleni. Już nie jeżdżę końmi, bo i nie mam ich, i nie mam samochodu nawet. To już jadę przy okazji z synem albo tam z kimś. Ale to wszystko, ten czar, to piękno, ten urok tej wioski, tego lata, tego zapachu, no nie do zapomnienia. I tam w tych Kozicach, mieszkaliśmy blisko dworu. Niedaleko domu wtedy był ten pałac, a konie tak jak gdyby przy płocie. I tu były strumienie tych źródeł. Przepiękne, bajkowe źródła. I wszyscy z wioski chodzili tutaj po wodę. Takiego uroczyska to ja jeszcze nie widziałam. Ale właśnie pamiętam, jak mnie podziwiano. Bo ja byłam wtedy w piątej klasie, a miałam mniej lat niż wszystkie inne dzieci. I ja nosiłam mamie wodę z tego źródła. To był spory kawałek drogi. W dole, a myśmy mieszkali na górze. I ja takie olbrzymie dwa wiadra wody nosiłam pod tą górę. To wszyscy stawali, a taka byłam mini dziewczynka, że ja to zdołałam... I nie wiem, skąd ja miałam tyle siły, no. I do takiego momentu chcę jeszcze zdążyć, jak rozpoczął się bardzo duży pożar na tej wiosce. No niesamowity. To było takie przerażenie dla ludzi wszystkich. I my też obawialiśmy się, bo już on się zbliżał w tym kierunku z wiatrem na ten nasz dom. No więc wszystkie rzeczy z domu wynieśliśmy na dół. A to była góra bardzo stroma. To ja na piętach zjeżdżałam, bo to mokre było wszystko i woziłam te rzeczy na dół, znosiłam. To nie tylko ja, bo to wszyscy to robili. Ale skąd myśmy mieli wtedy tyle siły, tyle energii. No, to był postrach straszny, bo ten pożar był nie do ugaszenia po prostu. Ale jakoś tam poradzili sobie i nam się nic nie stało. I to wszystko windowaliśmy na górę znowu. Takie przeżycia, to było wtedy bardzo takie poważne i przerażające. I pierwszy raz mnie spotkało coś takiego. No takie siły były wielkie.

Data i miejsce nagrania	2016-01-25, Lublin
Rozmawiał/a	Joanna Majdanik
Redakcja	Natalia Boczek
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"